



**DOM
POGRZEBOWY
COTTONA**

Przełożyła Urszula Gardner

MONICA BRASHEARS



MONICA BRASHEARS

**DOM
POGRZEBOWY
COTTONA**

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

House of Cotton

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Donna Sinisgalli Noetzel

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 by Monica Brashears

Copyright © 2024 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-225-3

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





Odnoszę silniejsze niż kiedykolwiek wrażenie, że znalazłam się w potrzasku. Ilekroć doznaję takiego uczucia, że dławię się i duszę, jakbym żebra miała ciasno owiniętą lianą, lubię schować się we własnej głowie. Mogę wtedy zapomnieć o twardej ławce i wszystkich tych jedwabnych szerokorondych kapeluszach kołyszących się przy akompaniamencie mszy żałobnej. Nie ma mnie tutaj. Nie ma mnie w kościele baptystów w Mountain Bend ani nawet w Tennessee.

Jestem czarną fasolką. Jestem czarną fasolką w Anglii w tysiąc siedemset trzydziestym czwartym roku i pewien chłopiec niesie mnie do domu. Gdy docieramy do jego chaty, matka wita go słowami: „Ty urwisie, chyba nie sprzedałeś krowy za garść fasoli?!”. Zanim wybiję mu kierpcem z głowy białe myślenie, mnie wyrzuca przez okno, ale nie dzieje mi się krzywda. Jestem czarną fasolką, która pada na miękki ilasty grunt. Śpię głęboko w chłodnej glebie. Kiedy wstaje rano, słońce mnie nie budzi. Budzi mnie dopiero chłopiec. Chudymi palcami łapie mnie za boki. Jestem łodygą: grubą, zieloną, jędrną i na tyle wysoką, że

mogę sięgnąć nieba. Ale chłopiec nie daje mi spokoju. Oplata mnie nogami i napina najedzone nabiałem ciało. Dźga mnie kościstymi kolanami. Wołam do niego: „Po kiego się na mnie wspinasz?”

Czyjaś gładka dłoń dotyka mojego ramienia, przywraca mnie do tu i teraz, czyli do kościoła i mowy pogrzebowej.

– Magnolio, dziecko. Twoja babcia zaznała wreszcie spokoju.

Siedząca obok mnie ciemnoskóra kobieta musiała wziąć mój śmiech za szloch. Gdy zatacza kółka na moim rękawie, akryl wydaje ledwie słyszalny szelest, nie głośniejszy od szeptu. Wtem pastor Wooly utrafia w czułą strunę kobieciny, bo ta wykrzykuje: „Alleluja!” i klaszcze w dłonie. Babka Brown i ja chodziłyśmy do kościoła dwa razy w roku – na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Nie potrafię sobie przypomnieć imienia kobieciny. Wiem tylko, że kochała Babkę Brown. Czego nie można powiedzieć o większości tych ludzi.

Na pewno nie kochali jej wystarczająco, by wiedzieć, że nie spodobałyby jej się kwiaty ułożone wokół trumny: puszyste goździki, wiotkie róże, piwonie w kolorze języka. Babka Brown wolałaby coś, co przypominałoby jej o domu: ogrodowe tulipany przybrane gałązkami gipsówki. Do tego nie wyszła im twarz. Podkład jest o dwa odcienie za jasny, a gruby prawie jak Biblia. Babka Brown nie chciałaby też tej nudnej ceremonii; przedkładała zawsze muzykę i tańce.

– A więc co mówi Pan? – Pastor Wooly uderza mikrofonem o grzbiet dłoni.

Ten ciemnoskóry, pomarszczony mężczyzna z kępką nasion dmuchawca zamiast włosów co niedzielę kuśtyka do ołtarza o lasce. Nie inaczej zachowuje się przy okazji dzisiejszego pogrzebu. Gdy nawiedzi go Duch Święty, pastor Wooly

wyrzuca ręce w górę. Dźwięk laski upuszczonej na drewnianą podłogę wzbudza gromkie „Alleluja!”. Głosy poszczególnych wiernych – chrapliwych staruszek, młodzików, którzy nie potrafią usiedzieć spokojnie w miejscu, grzeszników znajdujących w swoich ustach tę odrobinę chwały – zlewają się w jeden donośny i głęboki. Kiedy byłam mała, w takich chwilach myślałam, że pastorowi udało się przywołać głos Boga. Teraz już wiem, że się myliłam.

– Powiem wam, co mówi Pan! – odpowiada sam sobie pastor Wooly.

– Tak, pastorze! – odkrzykuje mężczyzna z tylnej ławki.

– Pan mówi: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”*.

– Alleluja! – potwierdza ślicznotka siedząca po mojej drugiej stronie.

– Słyszycie mnie wszyscy? – Pastor Wooly zaczyna podskakiwać, tracąc przy tym oddech. Każde kolejne słowo okupione jest wysiłkiem. – Pan mówi: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”.

– Alleluja! – Wierni wstają z mniejszym niż przedtem wigorem, wraz ze zbliżaniem się końca pogrzebu podnosi się szmer ich coraz bardziej niecierpliwych głosów.

Nie trawię myśli, że mam tu stać i dać się zamykać w objęciach i obłokach wody toaletowej White Diamonds i Old Spice. Przyjmować kondolencje. Wszystkie „niech Bóg ma cię w opiece”, które dziś tu usłyszę, nie zmniejszą mojego bólu. Nie zdołają zatrzeć świadomości, że jedyna osoba będąca w stanie mi pomóc leży sztywna i niema w dębowej skrzyni.

Wymykam się bocznymi drzwiami, które prowadzą na skraj cmentarza. Zachodni horyzont nabrzmiewa powoli

* Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Jana 11:25.

czerwienią; będzie zupełnie ciemno, zanim złożą Babkę Brown do grobu.

– Magnolia? – rozlega się spomiędzy nagrobków.

Popalając łąpczywie rozpadającego się skręta, od strony otwartego dołu podchodzi do mnie nieśpiesznie Kulas. Szczyrzy się na mój widok.

– Co to się porobiło, no nie?

Nie widziałam go w kościele. Na pewno nie jest ubrany jak na pogrzeb: w mahoniowym garniturze, złotym krawacie i przekrzywionej fedorze na głowie. Znam Kulasa całe swoje życie i nigdy jeszcze nie zauważyłam, by włożył coś innego niż strój diakona. Teraz rzuca mi cukierek kajmakowy.

Chwytam łąkość w locie. Karmi mnie nimi, odkąd byłam mała.

– Słucham? O czym pan mówi?

Zatacza ręką z papierosem koło obejmujące drzwi do kościoła.

– O tym wszystkim. Twojej babci by się nie podobało.

– Babka Brown byłaby zadowolona – zaprzeczam. – Pastor się postarał.

Kulas się zaciąga, wydmuchnięty przez niego obłok dymu wypełnia przestrzeń między nami.

– Widziałem cud.

– Jaki cud?

– Ano taki, że chyba dziesięć kobit płakało z suchymi oczami. Nie uroniły ani jednej łzy. – Wybuchają śmiechem.

Uśmiecham się do niego lekko.

– Niezbadane są wyroki boskie – mówię i w tym samym momencie otwierają się boczne drzwi kościoła.

– Wszędzie cię szukamy, dziewczyno – rzuca kościelny.

– Jesteś samochodem? – pyta mnie Kulas, kiedy idę do środka.

– Nie. Przyszłam pieszo – odpowiadam.

– Odwiozę cię po wszystkim.

– Dobrze.

Kościelny prowadzi mnie do pierwszej ławki; karawaniarze podnoszą trumnę, jakby ważyła tyle co piórko.

Wlekę się za tłumkiem żałobników na zewnątrz, ku otoczonemu ogrodzeniem cmentarzykowi. Jak bym się czuła, łkając? Głupio. Zroszenie ziemi łzami nigdy jeszcze nikomu nic nie przyniosło. Ostatnie promienie dnia nikną równocześnie z Babką Brown.

Kulas odnajduje mnie przed stypą, obejmuje ramieniem w pasie i prowadzi do kościelnej piwnicy, gdzie mieści się salka bankietowa. Na długim białym rozkładanym stole wykonanym na zamówienie wspólnoty leżą tace z folii aluminiowej. Zapiekane spaghetti, smażony sum, jajka faszerowane. Bułeczki, zielona fasolka, kurczak smażony, sałatka ziemniaczana z musztardą. Na pomocniku – keks. Ale ja nie czuję głodu. Ponieważ oczekuje się ode mnie, abym coś zjadła, nabieram co nieco na talerz i odchodzę na bok, gdzie właściwie tylko popijam napój gazowany. W pewnym momencie ktoś włącza wieżę stereo i z głośników zaczyna lecieć Lauryn Hill, co bez wątpienia ucieszyłoby Babkę Brown.

Kulas dołącza do mnie i także podryguje w rytm muzyki, mając na talerzu wyłącznie odrobinę sałatki ziemniaczanej i bułeczkę. Nagle macha plastikowym widelcem nad moim jedzeniem.

– Na twoim miejscu bym tego nie jadł. – Dziabie swoją sałatkę, jak gdyby się nie znał i chciał ją pochłonać przed błogosławieństwem. – Tę rybę usmażyła pani Wanda. Poprzednim razem omal wszyscy nie dostaliśmy przez nią cholery.

– Czy cholera nie roznosi się przypadkiem przez wodę? – pytam.

– A czy ryby nie żyją w wodzie? – Ze śmiechem trąca mnie łokciem w bok.

Wszyscy rozsiadają się na krzesłach, trzymając pełne talerze. Pastor Wooly, który zajmuje miejsce u szczytu stołu, rzuca:

– Opuśćmy teraz głowy...

Kulas odkłada widelec.

Modlitwa do wtóru burczenia żołądków, po niej chóralne „amen”.

Przez następne półtorej godziny znoszą paradę dobrych intencji. Ludzie, którzy usiłują wspominać Babkę Brown jak należy, konkludują, że była łagodna niczym jałówka. Muszę zaciskać zęby przez bite półtorej godziny.

Wreszcie pastor Wooly się podnosi i ogłasza koniec stypy.

Kiedy siedzę na fotelu pasażera w samochodzie Kulusa, w uszach nadal rozbrzmiewają mi kościelne hymny. Jak oni mogą śpiewać o wolności, o ulatywaniu w niebo, gdy tak mieszają człowieka z błotem? Jedziemy powoli przez wilgotny mrok, mijamy House Mountain, tę zalesioną gałą, która oddziela North Broadway od East Side.

– Ile ty masz właściwie lat? – pyta mnie Kulas.

– Dziewiętnaście.

– Z całym szacunkiem i w ogóle przykro mi o tym wspominać w dzień pogrzebu, ale nie miałbym co do garnka włożyć, gdybym zwracał sobie głowę uprzejmością. – Kulas zapala skręta.

Opuszczam szybę.

– Wspominać o czym?

– No, masz dziewiętnaście lat i pracujesz na stacji benzynowej. Zabrakło twojej babki, która płaciła mi czynsz.

– Dostanie pan swój czynsz o czasie. Tak jak zawsze. – Wyciągam rękę za okno i pozwalam chłodnemu wiatrowi owiać moją dłoń.

Mijamy właśnie kępę kapryfolium, które przepęlnia wnętrze samochodu słodkawym zapachem. Przetrzynuję go w płucach, gdy Kulas nieoczekiwanie pyta:

– Gdzie jest twoja matka? Od dawna nie widziałem pani Cherry.

– Ja też nie.

Zwalisty wóz Kulasa toczy się po zwirowym podjeździe przed moim domem.

– Wielka szkoda, że popadła w ten gówniany nałóg. Bardzo ją przypominasz. Też masz roziskrzzone oczy.

– Dziękuję. – Zmuszam się do uśmiechu i otwieram drzwi.

Kulas łapie mnie za rękę.

– Wiem, jak ciężko jest być zdany na samego siebie, wiązać koniec z końcem. Za jakiś czas możemy wypracować dogodny układ, wystarczy, że będziesz gotowa.

Mlaska, jakby miał usta pełne melasy, po czym odjeżdża bez słowa.

Dom tchnie pustką. Na ławie leży układanka, której już nie dokończymy: pół osła na tle ukwieconej łąki. Scaliłyśmy ich setki, zanim Babkę Brown dopadła demencja.

Siadam w szkarłatnym fotelu, by napawać się jej zapachem: mieszaniną olejku miętowego, sporadycznie wypalnego cygara i zatęchłego powietrza, które wypuszczał stary nawilżacz. Wcześniej, kiedy jeszcze byłam mała, siadywałam w tym fotelu wyłącznie na kolanach Babki Brown. Pokryte aksamitem podłokietniki ma teraz poznaczone kraterami dziur wypalonych przez jej cygara. Pod koniec – zapominając, że je w ogóle zapaliła – zostawiała niedopałki gdzie bądź, głównie na meblach. Dwukrotnie na własnych udach.

Zanim dostała demencji, Babka Brown była energiczna jak żywe srebro. Gdyby wciąż żyła i zobaczyła Kulasa w takim garniturze, jak się do mnie ślini, nie musiałybyśmy się

martwić o czynsz. Raz-dwa obtoczyłaby jego język w mące i usmażyła na patelni wysmarowanej tłuszczem. A gdyby widziała ten pogrzeb! Pastor Wooly mówi tak, jakby pozjadał wszystkie rozумы, niczym sprzedawca samochodów albo jeden z tych obwieszonych złotem jasnowidzów z telewizji. Tymczasem nie ma pojęcia o niczym. Babka Brown była mądra. Ale już nie żyje.

Nie miałam okresu od półtora miesiąca. Może to przez stres związany ze stratą. Nie zdziwiłabym się, gdyby złamane serce pomieszało mój cykl. Ale może wcale nie chodzi o stres. Może w moim brzuchu rośnie nowe życie, nie większe niż nasionko papryki. Cięża. Nie lubię tego słowa. Kojarzy się jakoś tak okrągłe.

Niewykluczone, że Babka Brown w niczym by nie pomogła. Miałam piętnaście lat, gdy ostatnio widziałam Cherry. Leżałam w łóżku. Wszystko mnie bolało, targała mną gorączka przez wirusa. Babka Brown dopiero co podała mi paracetamol i wrzącą herbatkę z sadzca do popicia. Połknęłam posłusznie lekarstwo i włożyłam nos w zeszyt, żeby napisać wiersz o chłopcu, którego nawet nie pamiętam. Rozległo się ciche pukanie do drzwi frontowych. Nikt nigdy nas nie odwiedzał, chyba że akurat Kulas przyszedł po czynsz i na jedno z cygar Babki Brown albo wpadł któryś z jej gachów – z tym że ci ostatni nie pojawiali się bez zaproszenia. Gdy usłyszałam kobiecy zachrypnięty głos, od razu wiedziałam, że to Cherry. Rozmowa między nimi zaczęła się spokojnie, najpierw niesłyszalna, ale bardzo szybko w przedpokoju zrobiło się głośno jak w kościele.

W pewnym momencie zapadła cisza. Pamiętam to dobrze, ponieważ nareszcie mogłam przyłożyć długopis do kartki. Oczy jęły mi się kleić, mimo że upłynęło zbyt mało czasu, aby lek miał szansę zadziałać. Chciało mi się spać. Zamiast

tego pisałam dalej, bo czyż najlepsza poezja miłosna nie powstaje wtedy, gdy człowiek jest na krawędzi snu i jawy, cały rozgorączkowany?

Kroki na drewnianej podłodze, trzykrotne pukanie do moich drzwi.

Schowałam niedokończony wiersz pod kołdrę.

– Wejdz – powiedziałam.

Cherry zakradła się do środka, zamknęła za sobą drzwi. Ubrana była w jakieś szmaty, które zwisały z jej wychudzonej sylwetki. Wśród cieni wyglądała jak kościotrup. Białą skórę miała zażółconą. Zwiędnięta margerytka.

– Maggie – odezwała się.

Nigdy nie lubiłam tego zdrobnienia.

– Cześć. – Postarałam się, żeby zabrzmiało to tak, jakbym miała kłopoty z mówieniem; niech wie, że jestem chora i zniecierpliwiona.

Gdy przysiadła na brzegu łóżka, doleciał mnie jej zapach – woń zaułka na tyłach fastfoodowni.

– Jak się czujesz?

– Jestem chora.

– Pomyślałam, że wpadnę. – Cherry miała chłopaka, nazywał się Quarry Jones. Był to biały pokurcz, na twarzy dziobaty od blizn po trądziku. Zdarzało mu się uderzyć Cherry, choć głównie oglądał telewizję. Z tego, jak szurała stopami i zerkala na drzwi, domyśliłam się, że jej facet czeka w pikapie przed domem. Na pewno się nudził, gniewał i rzucał rozszoszczone spojrzenia. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też.

– Maggie, wyświadczysz mi przysługę?

Zamknęłam oczy.

– Możesz poprosić babcię, żeby dała mi pożyczkę? Mnie odmówiła. A ty jesteś jej ulubienicą.

- Babka Brown ci odmówiła?
Cherry przechyliła głowę wyczekująco.
- No dalej, zrób to, Quarry na mnie czeka, mamy mało benzyny.
- Nic nie zrobię. Nie czuję się dobrze.
- Tyle mi zawdzięczasz. – Potrząsnęła przetłuszczonymi włosami. – Wiesz, ile miałam lat, jak cię urodziłam?
- Nie czuję się dobrze.
- Powinnam była wiedzieć, że mi nie pomoże. Ostatnio prosiłam ją o pieniądze, kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży z tobą. – Wstała. – Cóż, najwyraźniej kobieta, która chce być wolna, musi wystąpić przeciwko Bogu.
- Dlaczego miałyby ci pomóc? Nie jest nawet twoją matką, tylko taty.
- Twój tata nie żyje od niepamiętnych czasów. Dla kogo innego miałyby być matką? Na nikogo już nie można liczyć na tym świecie, kurwa!
- Trzasnęła drzwiami.
- Nie usłyszałam jej oddalających się kroków ani rzuconego prawdopodobnie do Babki Brown „pierdol się!”. Nie było mnie w łóżku. Nie było mnie nawet w tamtym domu.

Jestem bochenkiem chleba. Jestem bochenkiem chleba w wiklinowym koszyku i pewna dziewczynka niesie mnie do domu swojej babci. Gdy dociera do chaty – a ja powoli zasypiam wygrzana przez słońce i spowita zapachem cynamonowych ciasteczek, na których leżę – zza pobliskiej sosny wyłania się wilk. Odziana w futro bestia pyta: „Wszystko u ciebie dobrze, Czerwony Kapturku? Dokąd wędrujesz?”. Dziewczynka niosąca mnie w koszyku odpowiada: „Tak, dziękuję, Wielki Zły Wilku. Idę do domku babci”. Kiedy wilk udaje, że

się oddała, rzucam do dziewczynki: „Czy ciebie całym pogięło?!”.

Prawdopodobnie wtedy mnie to rozbawiło. Obecnie nie wydaje mi się to już takie śmieszne. Bo skoro Babka Brown nie pomogła Cherry z jej problemem, raczej nie pomogłaby mi teraz z moim. Szkoda, że nie mam czasu tego lepiej przemyśleć. Szkoda, że nie mam czasu, by posiedzieć w tej cichej pustce i poczekać, aż cały smutek się we mnie zsiądzie. No ale mi się śpieszy. Muszę iść do pracy.

Sięgnij po więcej!



MOVA

 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova